

Świadek historii

Zsylka

10 lutego 1940 roku był dniem zesłania na Sybir naszej osady Wola Piłsudskiego w powiecie dubieńskim, woj. wołyńskie. Na 30 rodzin osadniczych uniknęły go jedynie dwie.

Akcja odbyła się według z góry zaplanowanego scenariusza. Pod nasze zabudowania podjechało o północy saniami dwóch miejscowych Ukraińców w asyście dwóch uzbrojonych enkawudzistów na koniach. Wydali nam polecenie, abyśmy w ciągu 20 minut opuścili dom zabierając jedynie niezbędne rzeczy osobiste i żywność o wadze do 50 kg. Osadników zwieziono do szkoły w Podzamczu, po czym kolumna sań z konną eskortą ruszyła do stacji kolejowej w Radziwiłłowie, gdzie był już przygotowany zestaw kilkunastu wagonów towarowych z zakratowanymi oknami. W każdym znajdował się okrągły piecyk, prycze i otwór służący jako ubikacja. Obchodzono się z nami gorzej niż z bydłem, ładując do wagonu po 60-70 osób, które natychmiast były zamykane. Enkawudziści przyjmowali, sprawdzali i spisywali dowożonych osadników przez cały dzień. Tym samym transportem jechała również osada Radziwiłłowska.

Wyruszyliśmy na wschód pod osłoną nocy, a towarzyszyły nam trwoga i płacz oraz religijne i patriotyczne pieśni. Pierwszą stacją, na której zatrzymał się transport była graniczna Szepećówka. Widzieliśmy zza krat inny, ponury krajobraz – puste, zaśnieżone pola, a na stacjach ubranych w fufajki smutnych ludzi gapiących się na wywożonych „polskich panów”.

Warunki w wagonach były nie do zniesienia – zimno i kompletne załamanie psychiczne. Na piecyku gotowano w dużym garnku zupę. Niektórym pozwolono przed wyjazdem zarznąć cielę, inni mieli gęś, kurę, trochę chleba, mąki czy kaszy, i tym się dzielono.

Transport posuwał się wolno i zatrzymywał z dala od stacji i ludzi. Wówczas zezwalano wyjść na kilka minut za potrzebą. Załatwiano to pod eskortą i razem, bez względu na płeć. Trzeba dodać, że było bardzo mroźno, temperatura dochodziła do -30°C . Raz dziennie po dwóch ludzi z wagonu udawało się pod eskortą po wodę i chleb. Podczas podróży w transporcie zmarły co najmniej dwie osoby.

Po ośmiu dniach podróży dotarliśmy do dużego miasta Kirów, skąd transport ruszył na północ

w kierunku na Archangielsk. Po następnych trzech dniach dotarliśmy do Kotłas. Przez cały czas widzieliśmy las i śnieg, a gdzieś tam tylko małe leśne stacyjki. Mróz stawał się coraz bardziej siarczasty.

Po krótkim postoju w Kotłasie nasz transport skierowano na trasę do Workuty. Zatrzymaliśmy się na jednej z takich stacyjek o nazwie Krystaforowo i tam kazano nam wyjść.

Czekało na nas kilka sań i przedstawiciel obozu, do którego mieliśmy dojść. Małe dzieci i chorych posadzono na saniach owijając w pierzyny i koce, a reszta szła pieszo. Szliśmy w śnieżnym tunelu – po obu stronach drogi ściany śniegu sięgały półtora metra.

W łagrze

Wreszcie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, czyli odległego od stacji o około sześciu kilometrów obozu Szuszagowo. Tutaj czekała na nas jego siedmioosobowa komendantura, z komendantem, st. lejtnantem Kołpasznikowem na czele, oraz puste baraki. Przedstawił on nam krótko regulamin obozu i oznajmił, że tu jest nasza Polska, tutaj będziemy żyć i pracować, a oni będą nas wychowywać.

Następnie rozpoczęło się przydzielanie prycz w poszczególnych barakach. „Nasz” barak zbudowany

był z okrągłych pni sosnowych uszczelnionych mchem. Składał się z jednego dużego pomieszczenia wyposażonego w gliniany piec z metalową płytą po środku. Po obu stronach ścian usytuowane były dwupiętrowe, ponumerowane prycze z drabinkami. Przejście między nimi było bardzo wąskie. Wodę czerpało się z płytkich studzienek wykopanych w bagnistym terenie w pobliżu baraków. Latryna też znajdowała się na zewnątrz, jednak z uwagi na silne mrozy wydzielono w barakach miejsce na ten cel dla dzieci.

Obóz wyglądał tak, że w środku stał dom komendantury wraz z aresztem, a dookoła niego baraki. Wokół był wyłącznie las. Obóz nie był ogrodzony, ale określono jego granice. Najbliższa miejscowość, nie licząc stacyjki, oddalona była od nas o około 30 kilometrów. Tam moja mama sprzedała swoje futro z kotów syberyjskich za pud (16 kg) żytniej mąki. Za to samowolne oddalenie się od obozu dostała 6 dni aresztu.

Po otrzymaniu przydziału pryczy każdy organizował sobie posłanie, ścieląc na gołych deskach co się dało. Dopiero na wiosnę nabieraliśmy mchu, który służył za materace. Aby utrzymać odpowiednią temperaturę w baraku ustalono plan dyżurów. W piecu paliło się w dzień i w nocy, a drzewa nie brakowało. Po dwóch dniach urządzania się zostaliśmy



skierowani do pracy, do której przydzielono nam narzędzia - piły, siekiery i strugi. Wszyscy, z wyjątkiem dzieci poniżej 12 roku życia i chorych, musieli pracować przy wyrębie drzewa, piłowaniu, korowaniu i obcinaniu gałęzi.

W obozie była również stołówka, w której przygotowywano posiłki oraz wydawano chleb pracującym i niepracującym. Racje były głodowe, brakowało mleka, masła, owoców, chleb był bardzo kiepski i mieliśmy go mało (400 g dla pracującego, połowa tej racji dla niepracujących). Dominowały zupa rybna, gotowana z rybich głów, kapuśniak z niewielką ilością kapusty, kartoflanka, w której trudno było znaleźć kartofla. Skazani na to, co nam dawali, ciągle byliśmy głodni.

Praca była ciężka, a ludzie nie mieli sił i nie mieli ubioru stosownego do panujących warunków klimatycznych. W obozie panował ostry reżim, a wśród nas pogłębiał się

smutek i przygnębienie. Czekaliśmy na wiosnę, a ta przyszła dość późno. Dopiero w czerwcu zrobiło się ciepiej i stopniał śnieg. Wraz z ociepleniem nastąpił jednak frontalny atak komarów, przed którymi nie było obrony. Na domiar złego w barakach szalały pluskwy, atakujące nas w dzień i w nocy, bez względu na porę roku.

Teren wokół był bagnisty, ludzie, a szczególnie dzieci, coraz częściej chorowały. Opieki lekarskiej nie było żadnej. Zaczęły się pierwsze zgony. Wieczorami, po pracy, ludzie kierowali błagalne modły do Boga, aby zlitował się nad naszym losem.

W takich warunkach przeżyliśmy do sierpnia 1941 roku. W połowie tego miesiąca dotarła do nas wiadomość, że premier gen. Władysław Sikorski zawarł układ z rządem ZSRR, na mocy którego ogłoszono amnestię dla Polaków. Zapanowała radość nie do opisania, ludzie nie dowierzali, byli pijani ze szczęścia,

śpiewali hymn Polski, wstąpił w nas inny duch. Otrzymaliśmy zaświadczenia, że jesteśmy obywatelami polskimi, tymczasowo przebywającymi na terytorium ZSRR i mamy prawo poruszać się po tym kraju z wyjątkiem stref zakazanych, a po wojnie powrócić do Polski. Możemy pozostać w obozie, w którym obiecano polepszyć warunki, lub udać się na południe do Buzułuku, do tworzącej się tam armii gen. Andersa.

Znów w drodze

We wrześniu pożegnaliśmy bez żalu syberyjskie sosny i obóz Szuzagowo. Z bólem żegnaliśmy też tych, którzy pozostali tam na zawsze. Ruszyliśmy drogą z okrągłaków w kierunku stacji Krystaforowo. Tam, aby opuścić to miejsce jak najszybciej, wsiedliśmy na odkryte platformy, którymi wożono drewno do Kotłasu. Po drodze zaczął padać śnieg.

W Kotłasie zastaliśmy wielu Polaków, którzy przybyli z obozów rozlokowanych po obu stronach linii kolejowej Kotłas – Workuta, z samej Workuty i okolic. Zabierały nas pociągi jadące z Archangielska, ale na miejsce trzeba było czekać w kolejce. Wreszcie po kilku dniach dostaliśmy się do wagonu i my. Wyruszyliśmy znów w daleką podróż

mając niewiele pieniędzy i prawie żadnej żywności.

Dojechaliśmy do Kirowa, gdzie spotkaliśmy setki jeńców polskich ubranych w zniszczone płaszcze wojskowe, nieogolonych i potwornie wynędzniałych. Po dwóch dniach postoju skompletowany transport wyruszył w daleką podróż do Uzbekistanu. Odbywaliśmy ją w wagonach towarowych, jechaliśmy przez Ural, miasta Czelabińsk i Magnitogorsk. W Orsku chcieliśmy wysiąść i udać się do Buzułuku, lecz przedstawiciel polskiej placówki kazał nam jechać dalej.

Droga była bardzo ciężka – brakowało żywności, lekarstw, środków czystości, nawet mydła. Jedliśmy bardzo rzadko i mało, a żywność zdobywaliśmy na różne sposoby. Często pociąg zatrzymywał się gdzieś w bezludnym terenie i wówczas wyskakiwaliśmy z wagonu i rozpalaliśmy ognisko, żeby ugotować kaszę lub zupę. Czasami się nie zdążyło, często pociąg ruszał i gotowanie trzeba było przerwać.

Z Taszkientu udaliśmy się do miasta Kryżyłtepe, leżącego pomiędzy Samarkandą a Bucharą, gdzie skierowano nas do pracy w kolchozie „Komuna”.

W kolchozach i sowchozie

Rozpoczęliśmy w nim pracę przy zbieraniu bawełny i owoców oraz

wykopkach rzepy. Jakżeż odmienne panowały tu warunki klimatyczne - było gorąco. Zawsze też znalazło się coś do jedzenia - owoce, mleko, rzepa, a i stosunki z Uzbekami były w miarę przyzwoite. Pracowaliśmy tam niecałe trzy miesiące. Pewnego dnia do kolchozu przyjechała milicja i kazała nam udać się natychmiast do stacji kolejowej, gdzie już czekały na nas wagony towarowe. Na pytanie dokąd jedziemy, odpowiadano: „dowiecie się jak dojedziecie”.

Po skompletowaniu transportu ponownie wyruszyliśmy w daleką podróż. Droga wiodła przez Tazskient, Frunze, wzdłuż Tien-Szan do stacji docelowej Bystrowka, u podnóża tych gór, niedaleko jeziora Issykul. Znaleźliśmy się na pograniczu Kazachstanu i Kirgistanu. Stamtąd wozami zaprzężonymi w woły przewieziono nas do kolchozu Kołas, gdzie na spotkanie z nami wyjechał na koniu jego przewodniczący, Baszanow. Potem przydzielano nam kwatery. Kazachowie przyjmowali nas do siebie niechętnie. Domki ich były lekkiej konstrukcji i składały się z sieni i pokoju. Nam oddano sień, w której zrobiliśmy piecyk do gotowania a spaliśmy na rozłożonej słomie, podłogi nie było.

Wyznaczano nam różne prace, zależnie od pory roku i sezonu. Na ogół pracowaliśmy w polu przy sa-

dzeniu i zbiorach tytoniu, plewieniu buraków, zbiorze siana, oraniu i bronowaniu, wypasie owiec i bydła. Kierowano nas do prac najgorszych i mało płatnych. Tutaj otrzymaliśmy pierwszą pomoc angielską: mąkę, buty, ubrania, cukier, a nawet czekoladę. Mąkę angielską wymienialiśmy na mąkę miejscową w stosunku 1:3. Ta pomoc bardzo nam się przydała.

W lutym 1942 roku większość Polaków w kolchozie zachorowała na tyfus. Stałej opieki lekarskiej nie było, w jednej szopie zainstalowano „szpital”, do którego raz na tydzień przyjeżdżała lekarka Tatarka, która nie dysponowała żadnymi lekami.

18 lutego zmarł mój ojciec. Pochowany został za kolchozem, u podnóża gór Tien-Szan. Tam też chowano innych i powstał mały polski cmentarz. Czy jest po nim jeszcze jakiś ślad?

Po wyjeździe armii gen. Andersa do Iranu stosunek do Polaków stał się znów wrogi. Zmuszono nas do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego, zabrano nam wydane wcześniej zaświadczenia. Mężczyzn chciano powołać do armii sowieckiej, na tzw. „trudowy front”, do kopania okopów. Groziło to mnie, dlatego rodzina moja zbiegła do Kirgistanu, do sowchozu podległego kopalni Akciuz. Pracowaliśmy z mamą w polu, siostra leżała z bezwładem

nóg, a mój mały braciszek wystawał w kolejkach za przydzielonym chlebem. Stosunek ludzi miejscowych do nas był coraz bardziej nieprzychylny. Mówiono nam, że nie chcemy wspólnie walczyć, że jesteśmy zdrajcami. Nie mogę jednak uogólniać, bo wśród Rosjan, Kirgizów i Kazachów byli również dobrzy ludzie, którzy nam współczuli, a nawet pomagali.

Latem 1943 roku zauważyliśmy, że władze sowieckie jakby lepiej się z nami obchodzą. Dopiero w styczniu 1944 roku dowiedzieliśmy się, że powodem tego jest utworzenie w ZSRR 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Nie widząc innej szansy powrotu do Polski, zgłosiłem się do wojenkomatu Tokmat z prośbą, aby powołano mnie do wojska.

Droga do kraju

Na początku sierpnia 1944 roku otrzymałem polecenie rozliczenia się w sowchozie i przybycia do Wojenkomatu Tokmat. Tam spotkałem około 40 Polaków. Po załatwieniu formalności, otrzymaniu biletów

oraz przydziału żywności i talonów, grupa nasza wyruszyła w daleką podróż.

Jechaliśmy ponad 20 dni przez Taszkient, Kujbyszew, Moskwę i w wrześnieu przybyliśmy na Majdanek do Lublina. Tutaj nastąpił rozdział do poszczególnych kompanii i rozpoczęto intensywne szkolenie wojskowe. 10 stycznia 1945 roku skierowano mnie na front. Wkraczałem do Łodzi i Poznania, a zakończyłem swoją wojaczkę w Złocieńcu, gdzie zastał mnie dzień 9 maja 1945 roku.

Rodzina moja powróciła z zesłania dopiero w czerwcu 1946 roku. Byli chorzy, biedni, bez środków do życia i załamani. Cały nasz dorobek pozostał na kresach, a na ziemiach zachodnich najlepsze gospodarstwa zostały już rozdysponowane.

W kraju rozpoczynaliśmy życie od podstaw, zdobywając mieszkanie, pracę i uzupełniając przerwane na sześć lat wykształcenie. Jednak tych straconych lat zesłania nikt nam już nie zwrócił. Szkoda ich. Szkoda tym bardziej, że były to lata mojej młodości, której nie miałem.